Rok 1. Październik No. 8.

POCHODNIA

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ARTYKUŁOM POPULARNO-NAUKOWYM RÓŻNEJ TREŚCI OBCHODZĄCEJ KAŻDEGO CZŁOWIEKA. WYCHODZI W POŁOWIE KAŻDEGO MIESIĄCA.

PRENUMERATA WYNOSI $1.00 ROCZNIE, 50c. PÓŁR. Z GÓRY. NUMER POJEDYŃCZY 10c. LISTY I PRZEKAZY ADRESOWAĆ: „POCHODNIA", 627 MILWAUKEE AVE., CHICAGO, ILL.

NAKŁADEM "DZIENNIKA LUDOWEGO", 627 MILWAUKEE AVENUE, CHICAGO, ILLINOIS.

No. 8. Październik Rok I.

„POCHODNIA"

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ARTYKUŁOM POPULARNO-NAUKOWYM RÓŻNEJ TREŚCI OBCHODZĄCEJ KAŻDEGO CZŁOWIEKA. WYCHODZI W POŁOWIE KAŻDEGO MIESIĄCA : : : : : :

Prenumerata wynosi $1.00 rocznie, 50c półr. z góry. Numer pojedyńczy 10c
Listy i przekazy adresować: „POCHODNIA" 627 Milwaukee Ave., Chicago, Ill.

O pochodzeniu gatunków

TEORJA DARWINA.

Napisał dr. med. **Mieczysław Kaufman.**

Lat czterdzieści kilka upłynęło już od ukazania się pomnikowego dzieła Darwina "O pochodzeniu gatunków". Oddaleni od chwili tej prawie o połowę stulecia, dzisiaj wyobrazić sobie zaledwie możemy ogrom wywołanego tym wypadkiem wrażenia. Pojawienie się tej książki podziałało, jak pocisk rzucony do prochowni. W sposób niebywały wstrząsnęło ono zbiorowym umysłem ludzkości i wywołało tumult, wrzawę i bój zacięty. Odrazu stanęły przeciw sobie dwa wrogie obozy: bezwzględnych wielbicieli i hałaśliwych przeciwników. Dla jednych idea darwinowska była jakby pobudką grającą do boju dla innych dzwonem bijącym na trwogę; jednych olśniła ona, jak nowe objawienie, innych ogłuszyła, jak grom niespodziewany.

Powoli, z biegiem czasu dopiero, hałaśliwa ta walka przeszła w spór spokojny i wreszcie przycichła i uspokoiła się prawie zupełnie.

W kołach przyrodników nauka Darwina oddawna nie napotyka już na opór. Wzrastająca ciągle ilość dowodów wytrąciła ostatnim jej przeciwnikom broń z ręki. Jeśli słyszeć się daje niekiedy jeszcze protest, to pochodzi on

przeważnie od ludzi, stojących zdala od badań przyrodniczych.

Ostatnim już może z wybitniejszych głosów przeciwnych była mowa prezesa ministrów angielskich lorda Salisbury'ego, wypowiedziana w Oxfordzie w r. 1894. Chociaż dzienniki nadały jej wtenczas rozgłos niezwykły, nie zawierała ona w rzeczywistości nic godnego uwagi: było w niej dużo frazeologji dyplomatycznej, mało logicznych argumentów i zupełny brak nowych faktów przekonywających.

A jeśli przeciwnik tak zdolny i wymowny nie mógł nic więcej przeciw nauce Darwina przytoczyć, niż kilka bardzo słabych rozumowań, to jest to nowym dowodem jej siły i żywotności.

Zresztą nauki przyrodnicze zaliczyły już teorję przeobrażeń do swoich nabytków tak niezbędnych i tak cennych, że żadna mowa kanclerska wartości jej obniżyć nie zdoła.

Zamilkły odgłosy walki, ale natomiast zatętniło życiem pole nauki.

W pracowniach, muzeach, na stacjach zoologicznych pod ożywczym działaniem darwinizmu raźno zabrano się do roboty. Z dniem każdym przybywały nowe szeregi obserwacji i doświadczeń, a wszystkie one przynosiły świeże dowody na rzecz nauki Darwina.

Natomiast, wśród szerokiego ogółu krążą dalej mętne pojęcia i sądy powierzchowne tak, jak przed laty wielu.

W popularnym pojmowaniu treść darwinizmu sprowadza się przeważnie do jednej jego, niezbyt dokładnie powtarzanej konsekwencji, mianowicie do zdania, że człowiek pochodzi od małpy. Istotna zaś treść i wartość darwinizmu nie przeniknęły jeszcze do pojęć ogółu.

By ocenić całą doniosłość nauki Darwina i zrozumieć jakiego przewrotu dokonała ona we wszystkich poglądach na świat istot żyjących, zwrócić się należy do przeszłości

i zobaczyć, czym były niektóre z nauk przyrodniczych, a zwłaszcza zoologja i botanika przed pojawieniem się dzieł Darwina. Były one wtedy niczym więcej, jak suchym zbiorem faktów i obserwacji, mało z sobą spojonych i powiązanych. Podręczniki zoologji i botaniki z owych czasów przypominają bardzo katalogi i słowniki; są one jedynie spisem mnóstwa nazw, któremi niemiłosiernie obarczano umysły uczących się.

Głównym zadaniem przyrodników ówczesnych było segregowanie okazów, Heckel słusznie porównywa pracę ich do zajęcia zbieraczy marek pocztowych, bo i im chodziło przedewszystkiem o zdobycie nowego okazu, przylepienie etykiety i zapisanie go pod odpowiednią rubryką. Aczkolwiek głównym celem dawniejszego przyrodoznawstwa było stworzenie klasyfikacji, t. j. podziału zwierząt i roślin na grupy, to jednak rezultatów tych dążeń nie można uważać za wystarczające.

Faktem jest, że pomimo usilnych starań, w pracy nad ugrupowaniem świata zwierzęcego w ciągu 2000 lat nie posunięto się prawie naprzód, a zjawisko to jest tak charakterystyczne, że warto zatrzymać się chwilę nad dziejami klasyfikacji.

Jeśli uprzytomnimy sobie, jak wielką jest rozmaitość form zwierzęcych, jakie bogactwo linji i barw u nich odnaleść można, to zrozumiemy łatwo, że już pierwszym obserwacjom człowieka nad otaczającą go przyrodą towarzyszyć musiało dążenie do stworzenia jakiegokolwiek układu świata zwierzęcego. W tym chaosie różnorodnych postaci zwierzęcych, o jakich dziś pewne pojęcie dać nam może jeszcze przechadzka po muzeum albo ogrodzie zoologicznym zorjentować się można było dopiero wtedy, gdy zaprowadzono jakiś podział i wyróżniono pewne gromady i typy. Dlatego też na ułożenie klasyfikacji patrzeć należy, jako na nieodzowny wstęp do badań szczególnych. Z natury rzeczy zaś wynika, że pierwsze próby

stworzenia układu świata zwierzęcego opierały się na cechach zewnętrznych, łatwo dostrzegalnych.

Arystoteles naprzykład dzielił wszystkie zwierzęta na posiadające krew i bezkrwiste, (przyczym do bezkrwistych zaliczał i te wszystkie, które mają krew białą lub zieloną), każdy zaś z tych dwuch typów dzielił na gromady, opierając się przeważnie na sposobach oddychania, budowie skóry i t. p. oznakach; wyróżniał zatym zwierzęta oddychające skrzelami lub płucami, pokryte łuską, skorupą, muszlą i t. d. Tak samo cechy zewnętrzne brano za punkt wyjścia i w późniejszych układach, nie wyłączając najbardziej rozpowszechnionego, którego twórcą był Karol Lineusz (w XVI w.).

Lineusz podzielił cały świat zwierzęcy na sześć klas: ssące, ptaki, ziemnowodne, ryby, owady i robaki. W dalszym ciągu, każdą z tych klas podzielił na kilka rodzin, a każdą rodzinę na pewną ilość gatunków. Ponieważ i system Lineusza nie uwzględnił należycie budowy anatomicznej zwierząt, przeto w miarę jak rozwijać się zaczęła anatomja porównawcza i poznawano budowę organów wewnętrznych, ujawniały się liczne jego braki. Odczuwano potrzebę klasyfikacji zwierząt na zasadzie znamion więcej stałych i istotnych.

Jako wyraz tych dążeń powstał system Cuvier'a, oparty na budowie anatomicznej przedewszystkim układu nerwowego. Chociaż i dawniej robiono już dorywcze badania nad budową wewnętrzną zwierząt, a zwłaszcza owadów (Malpighi, Lewenbock), to jednak systematyczne badania w dziedzinie anatomji porównawczej przeprzeprowadził dopiero Cuvier. Nie mogło przytym ujść jego uwagi podobieństwo w budowie narządów całych gromad zwierzęcych.

Ten wzgląd właśnie skłonił go do podziału wszystkich zwierząt stosownie do ich anatomicznej budowy na cztery typy: kręgowce, mięczaki, stawowate i promienia-

ki. W zakresie każdego typu Cuvier uznawał gatunki mało i wysoko rozwinięte, lecz przeczył jakiemukolwiek pokrewieństwu, zarówno pomiędzy oddzienymi gatunkami, jakoteż pomiędzy całemi typami.

Jeżeli porównywamy teraz system Cuvier'a z podziałem Arystotelesa, to zobaczymy, że chociaż dzielą je dwadzieścia dwa stulecia, różnic zasadniczych pomiędzy nimi jest niewiele. — System Cuvier'a jak wszystkie poprzednie, jest sztucznym, suchym, nie tłómaczy i nie odpowiada na najbardziej piekące pytania. Na tym poziomie stojące przyrodoznawstwo nie może nam odpowiedzieć na pytania, skąd się bierze, to odkryte właśnie przez Cuvier'a podobieństwo w budowie organów różnych zwierząt. Nie tłómaczy zupełnie, jak powstała ta niesłychanie wielka ilość gatunków zwierzęcych i nie wyjaśnia, dlaczego wszystkie prawie zwierzęta zaopatrzone są w jakieś organy, którymi się wcale nie posługują. Wobec takich zagadnień zoologja z okresów minionych albo milczy zupełnie, albo daje odpowiedzi, których za dostateczne uznać nie można.

Gdy zapytacie o podobieństwo w budowie różnych zwierząt, odpowie wam Cuvier, że to jest kaprys natury. Jeżeli zainteresuje was powstanie tylu gatunków zwierzęcych, to Lineusz wyjaśni, że każdy gatunek powstał ze stworzonej pierwotnie jednej pary. Tymczasem wiemy, że Carpenter, już sto lat temu oceniał liczbę wszystkich gatunków zwierzęcych na 2,000,000. Od tego czasu każdy dzień prawie przynosił nowe odkrycia. Okręty z zamorskich wypraw przywoziły tysiące nowych gatunków. Z dna morskiego wyławiano nieznane dotąd postacie; na tysiące opisywano nowe gatunki pierwotniaków i gąbek. W miarę rozwoju gieologji, w każdej prawie warstwie skorupy ziemskiej odnajdują niezliczone ilości skamieniałych części zwierząt z dawnych okresów istnienia ziemi. W ten sposób, do istniejących już miljonów gatunków

z puszcz amerykańskich, z głębin oceanu i z wnętrza ziemi przybywają nowe miljony. Każdy zaś z tych gatunków miał, według Lineusza, powstać z osobnej pary lub też wskutek osobnego aktu stworzenia!

Przyznać trzeba, że takie tłomaczenie niełatwym jest nam obecnie do zrozumienia.

I oto na wszystkie te sprawy rzuca jasne światło teorja Darwina.

To proste prawo, że z jednej, lub kilku najprostszych form zwierzęcych w ciągu bardzo długich okresów czasu, drogą rozwoju, doskonalenia się do warunków, powstały stopniowo wszystkie gatunki zwierząt, tłómaczy odrazu wszystkie ciemne dotąd kwestje. Zarazem klasyfikacja zwierząt, która przez tysiące lat była martwym schematem, ułożonym według kaprysu jakiegoś uczonego, nagle przeobraża się i nabiera życia. W rzeczywistości bowiem, nowoczesny układ świata zwierzęcego nazywamy systemem naturalnym, nie jest niczym innym, tylko nieznacznie zmienionym systemem Cuvier'a, z tą przecież różnicą, że według pojęć współczesnych oddzielne grupy zwierząt połączone są więzami prawdziwego pokrewieństwa.

Z chwilą, gdy upadła wiara w niezmienność gatunków zgodzono się na przejście jednych form w drugie, świat zwierzęcy tworzy jednolitą całość. Zamiast dowolnego podziału mamy obraz rozwoju świata zwierzęcego, który odtworzyć można w postaci drzewa gienealogicznego.

Widzimy, jak ze wspólnego pnia rozchodzą się w różne strony gałęzie. Jedne rozszczepiając się wielokrotnie, prowadzą w prostej prawie linji do szczytu. Z bocznych niektóre dzielą się dalej, rozchodząc się coraz bardziej. Inne znowu po kilkakrotnym rozgałęzieniu przestają się już rozwijać. Brak wielu form przejściowych nie pozwala jeszcze obecnie na ułożenie dokładnego rodowodu wszy-

stkich gatunków zwierzęcych,ale wspólne ich pochodzenie i pokrewieństwo staje się coraz mniej wątpliwym a coraz bardziej oczywistym.

Zanim zobaczymy, jak pokrewieństwo to udowodnił Darwin, musimy wspomnieć o tych, którzy podobne pomysły wypowiadali wcześniej.

Jest to zwykłym objawem, że ilekroć utoruje sobie drogę jakaś teorja, lub uzyska uznanie jakiś wynalazek, wtedy występuje na widownię cały szereg ludzi, którzy jakby to samo przedtym wygłosili..

Nie ulega wątpliwości, że myśl ogólna o rozwoju gatunków kiełkowała już na długo przed Darwinem. Narodziny każdej ideji poprzedzają zwykle rozmaite, niejasne przeczucia; pojawiają się zwykle zwiastuny, które już na długi czas przedtym zapowiadają ją i wytwarzają odpowiednią atmosferę. W ten sposób też i poglądy pokrewne darwinizmowi wygłaszano w tym samym czasie i prawie jednobrzmiąco w trzech różnych krajach. Erazm Darwin w Anglji, Lamarck we Francji, i Goethe w Niemczech. Zupełnie niezależnie jeden od drugiego wypowiedzieli myśli, pozostające w związku z darwinizmem.

Dziad Karola, Erazm Darwin, w dziele wydanym w roku 1794 p. t. "Zoonomja" wypowiedział przypuszczenie, że rośliny i zwierzęta ulegają przemianom pod wpływem otoczenia i warunków zewnętrznych. Jednocześnie Lamarck, którego zasługi ocenili dopiero Darwin i Heckel, w swojej "Philosophie zoologique" twierdził, iż w naturze niema ani gatunków, ani rodzin, ani klas, istnieje tylko nieskończony szereg osobników. W szeregu tym pod wpływem warunków zewnętrznych i wskutek ćwiczenia, lub nieużywania niektórych narządów, zachodzą zmiany i przeobrażenia.

Wywodom Lamarcka brakowało jednak siły przekonywującej i dowodów. To też, gdy na rzecz jego chciano uszczuplić zasługi Darwina, oburzony tym Tomasz Hux-

ley powiedział: "Jakkolwiek było wiele dowcipnych poglądów przez Lamarck'a wypowiedzianych,, jednak tak wiele zawierało się w nich pojęć niedojrzałych, a nawet i absurdów, że wszelka korzyść, która wyniknąćby mogła z trzeźwego i oryginalnego poglądu, zupełnie tutaj zatartą została."

Duże znaczenie, jako poprzednikowi Darwina, przypisują niemieccy uczeni, a zwłaszcza Heckel, Goethemu. Rzeczywiście, wiedza przyrodnicza tego gienjalnego poety była bardzo rozległą i gruntownością swoją wybiegała daleko po za granice zwykłego dyletntyzmu.

Nie można jednak na serjo mówić o ojcostwie Goethego względem teorji przeobrażeń; dążył on raczej do wykrycia pewnego ogólnego planu w budowie zwierząt i odnalezienia podstawowych jednostek, elementów tej budowy. Taką jednostką w świecie roślinnym był dla Goethego liść, który w miarę potrzeby przeobraża się w listek kielicha lub płatek barwny korony, w pręcik lub słupek.

Szukając podobnej jednostki w budowie zwierząt, Goethe odnajdywał ją u stawowatych (owadów) w postaci pierścienia, u wyższych gatunków zwierząt w formie kręga.

Podczas tych badań Goethe dokonał dwu odkryć, świadczących pochlebnie o jego bystrości spostrzegawczej. Podobieństwo w budowie pomiędzy zwierzętami stawowatymi a kręgowcami byłoby wielkie, gdyby analogji tej nie mąciło istnienie u kręgowców czaszki. Jak i z czego ona powstała, było to dla Goethego zagadką męczącą, którą rozwiązał śmiałym na swój czas przypuszczeniem, że czaszka także jest tylko częścią kręgosłupa i że powstała ona z przeobrażenia się kilku kręgów górnych. Myśl tę późniejsi badacze z pewnymi tylko zmianami potwierdzili.

Drugim, godnym uwagi odkryciem Goethego było odnalezienie kości międzyszczękowej u ludzi. Jak wiadomo,

u wielu zwierząt wyższych istnieje w górnej szczęce osobna kość, w której osadzone są zęby przednie. Znajdowano ją też u małp, ale przeczono jej istnieniu u ludzi. Goethe, wychodząc z założenia, że wszystkie zwierzęta zbudowane są według jednego pierwowzoru, że każdą część jednego zwierzęcia można odnaleźć u wszystkich innych, nie mógł się z tą myślą pogodzić. Dowiódł on też potym, że jakkolwiek w czasie późniejszym kość międzyszczękowa zrasta się zupełnie z kośćmi szczęki górnej, to jednak u zarodków i we wczesnej młodości istnieje ona jako odrębna część szkieletu.

Jak widzimy, pomysły Goethego w zakresie przyrodoznawstwa zasługują na szczery podziw, dalekie jednak są od teorji powstania gatunków drogą przeobrażeń.

W liczbie poprzedników Darwina pomijają zwykle jednego, którego poglądy w zwykłym pozostają związku z darwinizmem. Jest nim Herbert Spencer. Zgóry możnaby już powiedzieć, że myśliciel ten, który rozwój uważa za prawo wszechświata, dostrzec się dające zarówno w powstawaniu planet jak i w drganiach duszy ludzkiej, zastosuje je do powstania roślin i zwierząt na ziemi. Rzeczywście Spencer już w 1852 roku, to jest na siedem lat przed ukazaniem się pierwszego dzieła Darwina, uczył o rozwoju świata zwierzęcego i powstaniu gatunków, a zwłaszcza najważniejszego z nich, t. j. doboru materjalnego.

Jak widzimy, wszelkie roszczenia ojcostwa względem teorji przemiany gatunków są bardzo mało uzasadnione: jedne nie mają z nią nic wspólnego i zawierają w gruncie rzeczy zupełnie odmienne poglądy, inne znowu, acz kolwiek tyczą się tej teorji, to jednak nie poparte należytymi dowodami, nie mogły mieć żadnego znaczenia. Giną one zupełnie wobec zasług Darwina, który wystąpił na widownię naukową w pełnym rynsztunku dowodów i faktów, mozolnie zbieranych przez lat wiele.

Jedynym przyrodnikiem, który miałby prawo uważać się za rywala Darwina, byłby Alfred Wallace, gdyby sam, z podziwu godną skromnością, nie był się usunął na drugi plan, ustępując pierwszeństwa temu, który wcześniej i gruntowniej od niego tę samą sprawę opracował.

Znakomity ten przyrodnik przysłał Darwinowi z Azji rozprawę, której wyniki w zupełności zgadzały się z rezultatami pracy Darwina.

Artykuł ten stał się właśnie pobudką dla Darwina, zwlekającego ciągle z ogłoszeniem plonu swoich badań, do wystąpienia także na widownię publiczną.

Chociaż pierwsze dzieło swoje: "O pochodzeniu gatunków" Darwin uważał tylko za doniesienie tymczasowe, bo nie mógł w nim pomieścić całego nawalu faktów i doświadczeń, którymi rozporządzał, to jednak zawiera ono teorję już całkowicie wykończoną i zaokrągloną.

Nie jest to już, jak bywało dawniej, gienjalne, ale gołosłowne przypuszczenie, lecz teorja poparta dowodami ze wszystkich dziedzin wiedzy ludzkiej. Darwin wyzyskał na rzecz swoich poglądów doświadczenia hodowców zwierząt domowych, zebrał dużo faktów z nauki o rozwoju zarodków, zużytkował odnajdywane w głębi ziemi resztki zwierząt i powołał się na rozmieszczenie gieograficzne i wędrówki różnych gatunków zwierzęcych. Pomimo to, nauka jego nie byłaby jeszcze tak przekonywująca i niewątpliwą, gdyby nie wskazał zarazem, jaką drogą odbywały się przeobrażenia i mocą jakich sił powstawały przemiany gatunków. Darwin odnalazł właśnie te czynniki rozwoju i określił rolę i znaczenie każdego z nich. Oprócz tego, przewidując wszelkie możliwe zarzuty sam wynajdywał słabe strony swej teorji, tłumaczył je i wyjaśniał. Słowem, wystąpił odrazu z pracą tak znakomitą i poważną, że na szalach nauki ciężko zaważyć musiała.

Punktem wyjścia dla rozumowań Darwina była hodowla sztuczna i doświadczenie nabyte przy obserwowa-

niu zwierząt domowych. Zastanawiając się nad tym, w jaki sposób hodowcy dochodzą do poprawienia rasy u zwierząt i otrzymują nowe zgoła odmiany, Darwin doszedł do wniosku, że działają tutaj dwa czynniki: dziedziczność, t. j. zdolność przekazywania cech potomstwu i dobór sztuczny, t. j. świadoma wola hodowcy.

Na czym polega ten dobór?

Zasadza się on na tym, że wprawne oko hodowcy rozróżnia u zwierząt domowych mnóstwo cech indywidualnych, nieistniejących wcale dla niespecjalisty, i z pośród mnóstwa osobników, dopuszcza do rozmnażania się te tylko, które obdarzone są pewnymi korzystnymi własnościami.

Historja ogrodnictwa i hodowli zwierząt dostarcza wielu przykładów, jak w krótkim stosunkowo czasie przez dobór odpowiednich osobników udało się utrzymać całe szeregi nowych odmian. W roku 1793 zauważono na białym krzaku róży czerwony pączek. Przez staranne i ciągłe szczepienie otrzymano z tej jednej odmiany w ciągu krótkiego czasu 20, a w ciągu 50 lat 300 nowych odmian.

W roku 1596 sprowadzono do Anglji po raz pierwszy kwiat hijacyntu, w następnym już roku znane były cztery odmiany tego kwiatu, w 30 lat później osiem odmian, a w roku 1864 — 700 nowych odmian.

O większości naszych roślin i zwierząt domowych nie można napewno powiedzieć, czy powstały z jednego, czy z kilku dzikich gatunków. Niektóre jednak gatunki zwierząt, dzięki temu, że hodowano je bardzo troskliwie, posiadają rodowody bardzo doskonałe, tak dokładne, mówi złośliwie Heckel, jak gienealogja szlachty meklemburskiej. Do tych zwierząt, których historję znamy bardzo dobrze, należą gołębie. Wzmianki o nich sięgają czasów piątej egipskiej dynastji, to jest na 3,000 lat przed narodzeniem Chrystusa. Rzymianie, według świadectwa Pliniusza, wydawali duże sumy na hodowanie gołębi,

przyczym uwzględniali gienealogję i rasy. Około 1600 r. w Indjach, za dworem Abder Khana zabierano pochód nie mniej jak 20,000 gołębi. Monarchowie Iranu i Turanu starali się przez krzyżowanie poprawić rasę gołębi i nawzajem posyłali sobie w darze rzadsze okazy. Dzięki temu zamiłowaniu rozmaitość odmian gołębi stała się istotnie zadziwiającą.

Darwin, którego ta sprawa wielce zajmowała, hodował wszystkie gatunki, które tylko mógł zakupić lub otrzymać. Zapisał się do dwuch klubów hodowania gołębi w Londynie i zawiązał stosunki z hodowcami całego świata.

Zestawienie kilku chociażby odmian gołębi wykazuje, jak duże pomiędzy nimi zachodzą różnice.

Jeżeli postawić obok siebie pawika, który zamiast 12 piór w ogonie ma ich 40, gardłacza z rozdętym bardzo wolem; gołębia liwornijskiego pocztowego, gołębia angielskiego i t. p., odmiany różniące się pomiędzy sobą nietylko wyglądem zewnętrznym, lecz i budową kośćca, kształtem czaszki, głosem, usposobieniem i t. d., to z pewnością każdy, nie znający ich rodowodu, zoolog uznałby te odmiany za zupełnie odmienne gatunki. Tymczasem dowiedziono, z zupełną pewnością, że wszystkie te różnorodne odmiany wywodzą się od jednej postaci, a mianowicie od gołębia skalnego i tylko dzięki hodowli tak daleko od pierwowzoru swego odbiegły.

Tak samo, jak i gołębie, pochodzą wszystkie odmiany królików od jednej formy pierwotnej, a jednak różnią się między sobą znacznie pod względem koloru sierści, kształtu ucha, ilości żeber i t. d.

Doświadczeni hodowcy są poniekąd w stanie dowolnie przekształcać rasę zwierząt domowych. Lord Somerville powiada, że wygląda to tak, jak gdyby zgóry narysowano pewną doskonałą formę i następnie nadano jej życie.

W Saksonji, opowiada Darwin, do tego stopnia uznawano znaczenie doboru przy hodowli merynosów, że uprawiają ją tam, jako rzemiosło. Owcę stawiają na stół i badają ją tak, jak obraz oceniany przez znawców. Studja takie nad tymi samymi okazami powtarza się kilkakrotnie — przyczym wprawne oko hodowcy odnajduje cechy zaledwie dostrzegalne, które, potęgując się w następnych pokoleniach, stają się wreszcie widocznymi dla wszystkich.

Wytłumaczywszy w ten sposób jasno i prosto powstawanie nowych odmian u zwierząt domowych, przy pomocy dwuch czynników: doboru sztucznego i dziedziczności, miał Darwin prawo przypisywać powstanie nowych odmian i gatunków zwierząt w stanie natury takim samym czynnikom.

Pierwszy z tych czynników, to jest dziedziczność, jest zupełnie jednakową i możność przekazywania cech potomstwu jest przywilejem ogólnym wszystkich istot żyjących. Trudności usuwa tylko drugi czynnik. Zachodzi pytanie, co w naturze zastępuje świadomą wolę hodowcy? Kto, czy co wybiera przy tym, t. zw. doborze naturalnym, do rozmnażania się zwierzęta najlepsze, z cechami dla gatunku najkorzystniejszymi? Darwin odpowiada, że w naturze dobór ten odbywa się sam przez się i uskutecznia się za pośrednictwem walki o byt.

Zapoznajemy się tutaj z nowym pojęciem, które od czasu Darwina stało się o tyle popularnym, ale bywa nawet często nadużywane.

Czym jest walka o byt i w jakich warunkach się ujawnia?

Darwin pojęcie to rozumiał w znaczeniu najszerszym i obejmował tą nazwą ogół wszystkich przeszkód hamujących nieskończone rozmnażanie się organizmów.

(Ciąg dalszy nastąpi).

W IMIĘ KRZYŻA.

Napisał Czesław Wrocki.

Dokończenie.

Carena, prokurator rzymskiej inkwizycji za Urbana VIII, jest piątym świadkiem. Swój "Traktat o św. inkwizycji" rozpoczyna on słowami: "Heretyków należy ogniem i mieczem niszczyć, gdyż łatwiej ich zwyciężyć, niż przekonać." Tylko w rzadkich wypadkach można uwzględnić skruchę kacerza, wydanego już świeckiej sprawiedliwości, gdyż nawrócenie wypływa wówczas zwykle nie z serca, lecz z obawy cierpień i śmierci." "Zatwardziałych kacerzy oddaje się świeckiemu sądowi aby byli żywcem spaleni." Kacerzy powtórnie odpadłych, należy bez wszelkiego miłosierdzia oddać świeckiej sprawiedliwośc, gdyż wystarcza, że przez fałszywe nawrócenie już raz kościół oszukali. Wydanie ma nastąpić bez względu na to, czy kacerz żałuje, lub nie, z tą różnicą, że "żałujący ma być przed spaleniem uduszony, nie żałujący zaś ma być żywcem spalony." Także "małoletni powyżej lat czternastu mają być, w wypadku zatwardziałości, wydani świeckiemu sądowi na spalenie." "Nie należy dziwić się, że na kacerzy ustanowiono karę śmierci przez spalenie, gdyż herezja jest najgorszym z przestępstw. Gdyby istniała straszniejsza jeszcze kara, należałoby zastosować ją przeciwko kacerzom. Świecki sędzia powinien natychmiast wykonać wyrok inkwizycji."

Jako szósty świadek posłużyć może inkwizytor Bernard Comensis, który pisze w swojej "Lucerna Inquisitorum:" "Wykonanie wyroku inkwizytorów odbywa się za pośrednictwem władzy świeckiej. Wykonanie to ma się odbyć bez ociągania. W razie ociągania się lub chęci

przeszkodzenia w jakikolwiek sposób procesowi inkwizycyjnemu, podlegają władze świeckie ekskomunice. Należną karą jest ta, która odłącza duszę od ciała.''

Na siódmym miejscu należy wymienić teologów z zakonu Jezuitów. To samo, co do treści, mówią Jezuici: Adam Tanner, Paweł Laymann, Teofil Raynaud, Bellarmin i żyjący jeszcze, znany Jezuita Grisar:

''Karę śmierci na kacerzy wykonują władze świeckie, ale na polecenie i rozkaz władzy kościelnej. Dlatego nie może świecka władza uwolnić wydanego jej kacerza od tej kary. Kara ta stosuje się nietylko do tych kacerzy, którzy byli katolikami i jako dorośli odpadli od kościoła, ale także i do tych, którzy herezję wyssali z mlekiem matki i uparcie przy niej obstają. To jest ogólnym prawidłem.''

''Inkwizytorowie nie popadają w nieprawidłowość wydając kacerza świeckiej sprawiedliwości, gdyż oni sami nie wydają wyroku śmierci, ani go ne wykonują, lecz zostawiają tę czynność świeckiej władzy, którą mogą nawet do tego zachęcać nie stając się przez to nieprawidłowymi.''

''Kara śmierci na kacerzy nie jest wcale zbyt sroga, gdyż są oni najohydniejszymi i najniebezpieczniejszymi dla społeczeństwa przestępcami. Kościół uchyla wprawdzie w nieprzebranej swej łagodności karę śmierci od kacerzy, którzy po raz pierwszy popdadli w herezję, a nawrócą się przed ogłoszeniem wyroku. Słuszną byłoby jednak rzeczą, gdyby nawet i w tym wypadku stosowana była kara śmierci.''

''Żadna krzywda nie dzieje się kacerzowi, gdy kościół zasądzi go na śmierć, lub gdy zginie z duchownej ręki. Że zaś kościół sam nie wykonuje wyroku śmierci, nie dzieje się to dlatego, żeby go uznawał niesłusznym, lecz że mu to nie przystoi. Że kacerze zasługują na karę śmierci wynika to ze słów pisma: ''Wytępicie złe z po-

śród was" Musi się więc przyznać.: kościół ma prawo wydawać kacerzy chrześcijańskiemu świeckiemu sądowi, a ten powinien i musi wydać na nich wyrok śmierci, wykonany przez chrześcijańskiego kata."

"Przez własny opór ściągają na siebie ci nieszczęśliwi (kacerze) karę śmierci."

Fakta historyczne potwierdzają te zapatrywania.

W oku 1238 wzbraniała się zwierzchność miasta Tuluzy spalić sześciu heretyków, wydanych jej przez inkwizytorów. Wówczas biskup i inkwizytorowie rzucili na nią uroczyście klątwę. Papież Mikołaj IV narzeka w r. 1288 na opieszałość wielu gmin, które wzbraniają się wykonywać wyroki inkwizycji; grozi im klątwą kościelną.

Doża wenecki, Marini Mauroceno, złożył w roku 1249 następującą przysięgę: W Imię Wiecznego Boga. Amen. Na chwałę Bożą i Najświętszej Matki naszej, kościoła, i dla obrony wiary katolickiej, będę się starał, by do inkwizycji weneckiej wybrani byli dzielni katoliccy mężowie. I wszystkich wydanych nam przez patrjarchów i biskupów weneckich, jako kacerzy, zasądzimy na spalenie. Ja, Marino Mauroceno, z bożej łaski doża."

W Brescji ociągała się zwierzchność z wykonaniem tego katowskiego urzędu na kilku kacerzach. Inkwizytorowie wnieśli zażalenie do papieża Innocentego VIII, który wydał następujący dekret: „Nasz kochany syn Antonjusz, inkwizytor Lombardji i czcigodny biskup Brescji skazali niedawno, jak nam doniesiono, kilku kacerzy obojej płci na poniesienie przepisanej kary i polecili zwierzchności miasta wykonanie wyroku śmierci. Ku wielkiemu naszemu oburzeniu wzbraniała się zwierzchność wyrok ten wykonać przed przejrzeniem aktów procesu. Ponieważ jednak przestępstwo tego rodzaju, jak herezja, podlega wyłącznie juryzdykcji kościelnej, i nie może pod żadnym warunkiem pozostać nieukarane, przeto polecamy wam nakazać zwierzchności miasta, żeby w przeciągu sze-

ściu dni po otrzymaniu wezwania wyrok wasz wykonała, nie przeglądając wcale aktów procesu. Gdy nakazu tego nie wypełni, podpada exkomunice. Dan w Rzymie, dnia 30. września 1487 w trzecim roku naszego pontyfikatu''.

Żywy spór powstał w roku 1521 między Wenecją, a Leonem X. Inkwizytorowie i biskup z Justynopolis wydali kilku kacerzy władzy świeckiej na spalenie. Ale senat zabronił wykonania wyroku śmierci i zażądał aktów procesu. Z oburzeniem zgromił to „występne nieposłuszeństwo'' „Namiestnik Chrystusowy'' Leon X w swej bulli.

Długi łańcuch świadectw i faktów!— Jest on tak mocno spojony, tak nierozerwalny, że nawet Hefele, złotousty obrońca inkwizycji, podając wiadomość o spaleniu proboszcza Minicke z Goslaru dnia 22 października 1224, przyznaje, że „naturalnym następstwem'' wydania kacerza świeckiej władzy, było spalenie na stosie. Inni ultramontańscy falszerze historji, nie przestają wprawdzie jeszcze do dnia dzisiejszego oszukiwać czytelników w tej ważnej sprawie. I tak pisze Jezuita Kaurentius w „Encyklopedji kościelnej'', wydawanej przez prof. Kaulena z Bonn: „Kościół zadawalniał się wydaniem kacerza władzy świeckiej z prośbą o zachowanie jego życia. Pomimo tej prośby (!) stosował świecki sędzia karę, według całej surowości prawa''. Że prośba była przewrotnym „faryzeizmem'', tego nie mówi się naturalnie nie domyślającym się niczego czytelnikom.

Rozumie się, że niemożliwą jest rzeczą przytoczyć wszystkie świadectwa i fakty, jakie podaje historja. Wymienione jednak wystarczą najzupelniej za dowód, że wydawanie kacerza władzy świeckiej miało na celu pozbawienie go życia (przez uduszenie, ścięcie lub spalenie).

Wynika z tego również, że owej „prośby o zachowanie życia kacerza'' nie można bylo brać poważnie.

Nie potrzebujemy jednak uciekać się do pośrednich

dowodów w celu wykazania tego zasadniczego punktu istoty kary śmierci; historja podaje nam wiele powodów bezpośrednich. Cóż może być więcej wzruszającego, jak ta „gorąca prośba'' kościoła? Ponieważ kacerz nie chce należeć do jego wyznawców, musi go ze swej społeczności wyłączyć, błaga jednak gorąco, aby państwo zachowało życie „zbłąkanej owieczki''.

W ten sposób przedstawiają pisma ultramontańskie zachowanie się dobrotliwej Matki-kościoła. Historja jednak burzy brutalnie ten piękny obraz „macierzyńskiej pieczy''; odsłania niemiłosiernie pod obłudnym pozorem ukrytą wstrętną rzeczywistość.

Zawdzięczamy to samym inkwizytorom; pewni swej potęgi, opartej na świadomości ówczesnej wszechwładzy papiestwa nie znali oni sposobów uniewiniania swoich postępków, jak to czyni dzisiejszy ultramontanizm.. Wielcy inkwizytorowie, „namiestnicy Chrystusa'', tak samo, jak i mnisi będący wykonawcami ich woli przedstawiali z cyniczną otwartością tę swoją „gorącą prośbę'', tak, jak ją w istocie rozumieli: jako obłudne kłamstwo.

Zacznijmy od Gwidona, który powtarza tę wzruszającą „prośbę'' w sześciu po sobie następujących formularzach wyroku: „dlatego wydajemy tego kacerza świeckiej władzy i sądowi, z gorącą prośbą, jak to kanony przepisują, aby wyrok na niego nie był wyrokiem śmierci''.

Cóż pisze jednak ten „gorąco proszący'' papieski inkwizytor bezpośrednio po tym?

„Gdy atoli kacerz chce uznać swój błąd i wrócić na łono Kościoła, ma być zostawiony przy życiu; w tym wypadku zastrzegają sobie inkwizytorowie zupełną swobodę w wyznaczeniu mu odpowiedniej pokuty.

A więc mimo „gorącej prośby'' następowało zawsze stracenie skazanego, chyba, że nawrócił się przed tym. „Gorąca prośba była więc tylko czczą formą ze względu

na swoją treść; stawiano ją zaś jedynie dla tego aby ustrzec inkwizytorów przed kanoniczną nieprawidłowością ponieważ, jako duchowni nie mogli przykładać ręki do rozlewu krwi, ani też być bezpośrednimi sprawcami stracenia. Wzmianka o „kościelnych kanonach" przy tej gorącej prośbie" oznacza tylko, że gdy kanony za rozlew krwi grożą nieprawidłowością, „prośba" ta musiała być postawiona, aby tę nieprawidłowość usunąć.

Jest to jedyne trafne wyjaśnienie znaczenia tej prośby; Gwidonis powtarza ją kilkakrotnie w swej „Practicae" jak np.: „Gdyby się zdarzyło, że kacerz chce się nawrócić po wydaniu go już świeckiej władzy i zaprowadzeniu na miejsce stracenia, należy wydać go napowrót inkwizytorom".

Żąda także Gwidonis pomimo „gorącej prośby", aby kacerzy powtórnie od kościoła odpadłych, wydać bez wszelkiego przesłuchania władzy świeckiej". „Bez wszelkiego przesłuchania" znaczy tutaj tyle, co bez wszelkiego miłosierdzia; ponieważ bezpośrednio po tym pisze Gwidonis: „Dlatego mówi prawo Fryderyka II., karze śmierci podpadają itd."

Inkwizytorowie papiescy Jakób Sprenger i Henryk Institoris, którym świat cywilizowany zawdzięcza ohydny i krwiozerczy „Młot na czarownice i straszną „bullę przeciwko czarownicom" Innocentego VIII piszą: „W sposób jak najuroczystszy pod wezwaniem Boga wydaje się zasądzonego władzy świeckiej z prośbą, aby zwierzchność złagodziła wyrok i nie dopuściła do rozlewu krwi. Trzeba jednak zważyć, że ani biskup ani inkwizytor nie powinni oznjmiać zasądzonemu kacerzowi nieuniknionej kary, aby nie powziął gniewu przeciwko nim w swoim sercu; ze względu nanastąpić mającą śmierć należy tego starannie unikać i posłać do niego świątobliwych mężów, by mu wyrok śmierci oznajmili". Zdumiewającem jest poprostu z jakim cynicznym spokojem łączą in-

kwizytorowie "prośbę" o zachowaniu życia kacerza z bardzo wyraźnym oświadczeniem o jego nieuniknionej śmierci.

Antonius Diana, konsultor inkwizycji dla królestwa Sycylji, wyraża się z jeszcze większym cynizmem:

"Czy mogą inkwizytorowie wystąpić przeciw świeckim sędziom, gdy ci chcą okazywać się łagodni względem kacerzy i darować im karę śmierci przez spalenie? Tak jest, gdyż świeccy sędziowie są w stosunku do kacerzy tylko wykonawcami i mają obowiązek wydać natychmiastowy wyrok śmierci. Nie mają oni władzy zmieniania wyroku sądu inkwizycyjnego. Nie dowodzi tego wcale znana prośba wypowiadana przez inkwizytorów, gdy wydają kacerzy władzy świeckiej, mianowicie, by obejść się z nimi z łagodnością. Prośba ta bowiem ma jedynie na celu ochronienie sędziów duchownych przed nieprawidłowością... Inkwizytorowie mogą zmusić sędziów świeckich do wydania kacerzy na śmierć bez obawy przed nieprawidłowością. Wynika to z bulli Urbana IV, Klemensa IV i Inocentego IV.

Reszta wątpliwości, co do tej prośby o "względność", którą tak bardzo podnoszą ultramontańscy pisarze, znika wobec słów rzymskiego teologa Pegna, wydawcy i komentatora "Przewodnika dla inkwizytorów". Pisze on w odniesieniu do dekretu Innocentego IV? "Novimus": "Gdy inkwizytorowie wydają winnego świeckiemu sądowi, wypowiadają prośbę, aby nie budzić pozoru, że zgadzają się na rozlew krwi i aby nie popaść przez to w nieprawidłowość. Covarruvias uważa za rzecz stosowniejszą, aby inkwizytorowie nie wydawali zasądzonego władzy świeckiej, lecz aby ogłaszali wyrok w obecności sędziów świeckich, którzy rozciągaliby natychmiast swoją jurysdykcyę w celu skazania go na śmierć. Należy tutaj nadmienić, w jaki sposób zabezpieczyli rzymscy papieże inkwizytorów i konsultorów przed nieprawidłowością. Po-

nieważ na posiedzeniach rzymskiej kongregacji inkwizycyjnej, w której zasiadają księża, prałaci, biskupi, kardynałowie, zapadają często wyroki, pociągające za sobą śmierć zasądzonego, zatem postanowił nasz najświątobliwszy Ojciec Paweł IV dnia 20 kwietnia 1557, w celu uspokojenia sumienia członków inkwizycji, aby wszyscy, którzy go (papieża) w urzędzie sędziowskim wspierają, mogli wydać wyrok, skazujący na tortury lub śmierć, nie podpadając przez to w nieprawidłowość. Ten dekret Pawła IV odnowił Pius V. Po tych dekretach staje się zbyteczną prośbą stosowania do władzy świeckiej przy wydawaniu jej kacerzy; nie należy jej jednakowoż zaniechać, gdyż pożądana jest większa ilość środków, prowadzących do tego celu (uniknięcia nieprawidłwości). Nie jestże więc zakazanem wnoszenie próśb za kacerzem? Zakazane jest, jeżeli ma na celu zyskanie łaski dla niego z całą surowością prawa, ale nie wówczas, gdy ma zapobiedz nieprawidłowości (inkwizytora)”.

W innym miejscu objaśnia Pegna wyżej wspomniany dekret Innocentego VIII, który zmusza sędziów świeckich pod grozą ciężkich kar kościelnych do wykonania na skazanym wyroku śmierci.

Uważa on wahanie się świeckiej zwierzchności w wykonaniu wyroku inkwizycji za “ciężkie i nieludzkie przestępstwo”, zasługujące na karę, jako sprzyjanie kacerstwu. Potem mówi dalej: “Co atoli ma czynić inkwizytor, widząc, że zwierzchność świecka nie wykonuje na zasądzonych wyroku w przeciągu sześciu dni? Pewien bardzo doświadczony człowiek objaśnił mnie, że wówczas może inkwizytor nakazać świeckiej zwierzchności, aby skazała kacerza na spalenie, gdyż ta kara jest zwykle stosowana za to przestępstwo; przez to też nie popada on (inkwizytor) w nieprawidłowość. Nie zdaje mi się jednak zupełnie bezpieczną rzeczą nazwanie po imieniu kary śmierci. Pewniejszem jest zatym, gdy inkwizytor tylko

w ogólności nakaże sędziemu świeckiemu, pod grozą exkomuniki, wykonanie wyroku inkwizycji. Taką radę dają też reskrypty Aleksandra IV i Leona X; wystarcza to do uniknięcia nieprawidłowości''.

Szereg dowodów, mających na celu wyjaśnienie znaczenia owej "gorącej prośby" o zachowanie życia kacerza zamykamy wyznaniem pisarza ultramontańskiego, Jezuity Grisara: "To właśnie wskazuje na kościelny charakter inkwizycji, że sędziowie jej usuwali się od wydawania wyroków śmierci. A charakter ten pociągał również za sobą formalność owej prośby wystosowanej do władzy państwa, formalność będącą w użyciu u wszystkich sądów inkwizycji, a mającą związek z kanonicznymi postanowieniami o nieprawidłowości''. Wypowiedziana tu już prawda, jakkolwiek nie zupełnie otwarcie.

Fakta historyczne potwierdzają zatem słowa, wypowiedziane na początku tego rozdziału, nieprawdą jest twierdzenie, jakoby kościół nie przelewał krwi. Rzecz ma się wprost przeciwnie. Obłudna bajka o "łagodności" kościoła została we właściwym świetle przedstawiona.

Tem wstrętniej jednak objawia się ta konieczność, że propagowana jest przez "namiestników Chrystusowych" i że osłania się "powagą religji".

Jest jedno miejsce w piśmie, przedstawiające w proroczy niemal sposób stanowisko „namiestników Chrystusowych'' względem rozlewu krwi. Słowa te odnoszą się również do "namiestnika": "Wtedy umył Piłat ręce w obliczu ludu i rzekł: "Nie jestem winien Jego krwi; weźcie Go i ukarzcie według waszych praw''. Mat. 27, 21; Jan 18, 31).

VIII.

KOŚCIÓŁ RZYMSKI A POLSKA.

Rzym z chwilą, gdy Polska w rzędzie znaczniejszych państw europejskich, wcisnąwszy się do niej, odgrywał odtąd z czasem w polityce państwa polskiego coraz waż-

niejszą i coraz bardziej decydującą rolę. Wpływ ten Rzymu dochodził do szczytu podczas rządów niektórych królów, chwilami znów słabł, opadał; lecz nigdy, ani przez chwilę, od czasu, odkąd, Polska została państwem chrześcjańskim nie zamierał w zupełności. Rzym wciskał się we wszystkie sfery życia szlacheckiego, bo tylko szlachta miała w danej Polsce prawa obywatelskie i polityczne, rozluźniał kadlub i tak niezbyt silny nawy państwa polskiego, intrygował, wichrzył, podjudzał szlachtę przeciwko rządom państw ościennych —mając zawsze na widoku tylko własny interes, tylko o własną kieszeń i o wpływy własne dbając, a zawsze z założenia wychodząc, że łatwiej w mętnej wodzie łowią się w saczek rybki, złote rybki!

Stworzyło też sobie papiestwo w Polsce ucho wszystko słyszące, oko wszystko widzące i rękę długą, a sprawną — w sięganiu po wpływy ,władzę i złoto; stworzylo sobie służki słynne na cały świat z chytrości, zimnej krwi i chciwości: Jezuitów! Zakon ten, doszedłszy rychło do wpływów na dworze królów polskich stal się nieszczęściem Polski, jej zgubą i przekleństwem!

Jak mogło się to stać, że państwo tak niegdyś potężne padło dzięki intrygom Watykanu i sług jego, Jezuitów? A jednak tak było; fakt ten stwierdzają dziś wszyscy bezstronni historycy. Wyjaśnienie jego nie jest zresztą zbyt trudne. Kler rzymsko-katolicki prowadził zawsze i wszędzie politykę papieską i nie wahał się nigdy poświęcać najżywotniejszych spraw państwowych i narodowych dla interesów własnych, dla wzrostu potęgi papiestwa, które stałe władzą swą świecką jak najdalej rozszerzyć usiłowało. Rzym chciał panować nad światem — Rzym czyli papież — i gdy mu dla celów tej polityki potrzebnem się zdało, by państwo jakieś runęło, by naród przestał istnieć, to pracował nad tem tak długo, aż celu dopiął. Zadanie miał ułatwione: wciskał się w sferę polityki przez naiwną wiarę ludzi ówczesnych, czynił z nich

ślepe narzędzie swych zamysłów przy pomocy konfesjonału.

Jezuici tak się też w Polsce uczciwie zagospodarowali — w XVII zwłaszcza i XVIII wieku, że nie było dworu magnackiego w Polsce, na którymby nie mieli kogoś ze swoich zauszników, kogoś naturalnie, kto miał na umysł magnata dotyczącego wpływ decydujący. Oni wychowywali dzieci królewskie i dzieci magnackie; a mogący urobić sobie z wychowanków swych miękkie jak wosk dla swej woli narzędzia, rządzili się też w tej biednej "Polsce", jak szare gęsi. Oni skłaniali królów do wojen właśnie najgłupiej poczętych, właśnie dla Polski zgoła niepotrzebnych i niepolitycznych, ale dla Rzymu pożytecznych, i osłabiali w ten sposób państwo. Oni mącili elekcje królów, forsując zawsze na tron polski własnych, oddanych sobie kandydatów.

Oni zagarnęli w swe ręce szkolnictwo — i temu też do zawdzięczenia mamy ten niestosunek kultury w Polsce do kultury w Europie zachodniej, ten straszliwie niski poziom oświaty wśród ludu, do dziś jeszcze się utrzymujący. Zbyt daleko zaszedłbym jednak, gdybym zechciał wyliczyć i uzasadnić to wszystko zło, które wyrządziło Polsce papiestwo. Odsyłam z tą kwestją czytelnika ciekawego do nowszych dzieł historycznych obszernych, takich jak prace Smoleńskiego, Łozińskiego, lub dawniejszych, jak Stanisława Potockiego, Kołłątaja i w. i. Tam znajdzie czytelnik niewyczerpane źródło faktów, które mu wykażą jak na dłoni, że przyczyną tego słynnego polskiego "nierządu", który był jednym z głównych czynników upadku Polski, były w niemałej części właśnie rządy papiestwa za pośrednictwem Jezuitów w Polsce.

* * *

Naturalnie, że tego rodzaju stosunki musiały się odbić decydująco na postawie rządów i ogółu społeczeństwa wobec różnowierców i protestantów w Polsce, czyli

jak ich u nas zwano "dyssydentów". Poziom umysłowy był w Polsce zawsze niski, wpływ papiestwa ogromny, katolicyzm ogólnie panujący, więc też i prądy reformatorskie, w łonie kościoła w Zachodniej Europie już oddawna nurtujące, przedostały się do Polski dość stosunkowo późno i nigdy nie były co do ilości wyznawców tak silne, ażeby mogły z przemożnym w Polsce stanowiskiem katolicyzmu skutecznie walczyć, ażeby mogły być co do swego politycznego wówczas znaczenia w Polsce przeciwstawione Rzymowi.

Był jednak okres, w którym reformacja miała w Polsce nawet pewną siłę i wpływ bardziej jednak duchowy i moralny może, niż polityczny. Było to w w. XVI. Najtęższe głowy, najświetlejsze w Polsce umysły i najczystsze serca oświadczyły się za reformą kościoła. I dziwnym zbiegiem rzeczy łączyła się w duchach tych istotnie wielkich ludzi idea reformy, czyli oczyszczenia z chwastów zabobonnych obrzędów bałwochwalstwa, złych obyczajów, chciwości i łupiestwa duchowieństwa kościoła rzymsko-katolickiego z ideą reformy rządów państwowych w Polsce, naprawy obyczajów, podniesienia patrjotyzmu i umysłowego poziomu, z ideą nietylko usamowolnienia włościan, ale też ich uwłaszczenia, czyli więc uczynienia chłopów poddanych wolnymi obywatelami kraju wraz z obdarzeniem ich ziemią, jako wieczystą ich własnością. Byli to Arjanie, sekta, która specjalnie w Polsce stosunkowo dużo znalazla zwolenników i wyznawców, więcej jednak niestety wrogów. "Heretycy" ci, w najszlachetniejszym stylu obywatele kraju, jakich kiedykolwiek przedtym lub potym Polska wydała, mieli pośród siebie najtęższych wówczas pisarzów, ludzi, którzy stworzyli język polski literacki (poprzednio w literaturze polskiej panującej była łacina) — tak prosty, a tak zarazem czysty i piękny, że na ich to książkach uczyli się później języka polskiego najwięksi poeci polscy, tacy, jak Mickiewicz,

Słowacki i inni. Aryanie ci byli to jakoby pierwsi w Polsce rewolucjoniści, a literatura polska i myśl polska im to przeważnie okres zw. "złotym" zawdzięcza.

Naturalnie prądy te, (że nazwę ich mianem stosowanym dziś) wolnościowe były solą w oku Rzymowi i Jezuitom. Długo jednak walczyć musieli ci krzewiciele ciemnoty w Polsce, nim przekonali brać szlachecką przez swych zauszników na sejmach i sejmikach, że Arjanie — to wrogowie Boga i ojczyzny. Wreszcie udało im się to w drugiej połowy w XVII. Sejmy i królowie poczęli występować coraz gwałtowniej i surowiej przeciwko "heretykom", a w Polsce zapanowały znów czasy ciemnoty i coraz szybszego rozkładu.

Nie obeszlo się też bez ofiar tej jezuickiej w Polsce inkwizycji, na szczęście nie tak jednak licznych, jak w Europie zachodniej, a to z tego powodu, że "heretycy" ci polscy rekrutowali się z ludzi zamożnych, ze szlachty, a nawet i z pośród magnaterji polskiej. Tu i ówdzie spotykała banicja czyli wygnanie z kraju takiego heretyka szlachcica pośredniejszego; magnat jednak, "królewiątko", robił sobie „w Polscze", co mu się żywnie podobało; był więc sobie heretykiem i budował zbory czyli kościoły luterańskie, kalwińskie lub arjańskie pod bokiem króla i sejmu. Zginął więc w r. 1689 na stosie słynny Łyszczyński, podejrzany o niewiarę, zginęło jeszcze kilku, lecz ogólem wypadki te były bardzo rzadkie.

Zginęła też na stosie w Krakowie tutejsza mieszczka Wajklowa, którą opisujący szczegółowo cały wypadek Andrzej Niemojewski nazywa "pierwszą polską Sosynianką", czyli Arjanką.

Opis ten podaję, jako bardzo interesujący i rzucający jaskrawe światło na duchowieństwo katolickie, propagujące wszędzie "ideę Chrystusową"... w pięknych tylko słowach.

* * *

"Działo się to w r. 1539. Gamrat, biskup krakowski, zebrał do swego dworu wszystkich kanoników i kolegjatów, aby odbyć z nimi naradę, albowiem ośmdziesięcioletnia staruszka, mieszczka krakowska, zwana panią Melchiorową, przejść podobno miała na wiarę żydowską!

Była to prawdopodobnie pierwsza Socynianka.

Stawiono tedy starowinkę przed sąd i zaczęto ją pytać wedle Creda.

— Wierzysz li w Boga Wszechmogącego, Stworzyciela nieba i ziemi

Na co staruszka odpowiedziała z mocą:

— Wierzę w tego Boga, który rozumem człowieczym ogarniony być niemoże, a dobrodziejstwa Jego i my, ludzie jesteśmy pełni i wszystkie rzeczy na świecie.

I niby natchniona mówiła dalej, roztaczając potężny obraz Tego, który ludzką dolę postanawia, rządzi i utrzymuje, karze i nagradza.

Uczyniła się wielka cisza, a kolegiaty słuchały mowy staruszki, która jakby się w inną osobę w ich oczach przemieniła.

Kiedy skończyła wywód swój, zapytano ją z kolei.

— A wierzysz, że w Syna Jego Jedynego, Jezusa Chrystusa Pana naszego, który się począł z Ducha Świętego!

Na to staruszka odpowiedziała z głębokim przekoniem:

— A nie miał ci Pan Bóg... ani Mu Jego potrzeba, boć jeno tym synowie niezbędni, którzy umierają, ale Pan Bóg wieczny jest, a jako się nie urodził, tak i umierać nie może. Nas ma za syny swoje i są wszyscy synowie Jego, którzy drogami od niego naznaczonymi chodzą.

I poczęła z ogniem wywodzić swoją rzecz Socynińską; a mówiła tak, jakby jej lat ubywało.

Zerwali się z miejsc kolegjaci i krzyknęli:

— Źle mówisz, niebogo!

I wołali inni:

— Obacz się:

I jeszcze inni wołali:

— Wszakże proroctwa o tem były!

Ale ona odpierała ich mowę i wywodziła swoje. Tedy wstali doktorowie jeden po drugim, rozwierali Pismo poczęli jej wykładać, przytaczając wszystkie ważniejsze miejsca, aby jej umysł naprowadzić na drogę wiary, której nie uznawała.

Wszelako staruszka, aczkolwiek nielada uczonych miała przed sobą, jęła im odpowiadać z wielką ścisłością rozumowania. Im bardziej na nią nacierali, tym ona uporniej stawała przy swoim przedsięwzięciu, aż wreszcie złość poczęła podrywać tego i owego, gdy ona nie traciła bynajmniej spokoju. Dysputa przedłużała się, doktorowie poczerwienieli, a z jej przekonań nic odjęte nie zostało.

Wtedy stwierdzono, iż owa się już od tej "żydowskiej" religji odwieść nie da, więc naleziono ją bluźnierką przeciw Bogu.

To, gdy zostało zawyrokowane, odesłano ją do urzędu miejskiego.

W kilka dni potem na Rynku krakowskim wprost kościoła Panny Maryi ułożono wielki stos. Całe miasto wyległo na Rynek. Rzecz była niesłychana.

Przez tłum, przez zbiegowisko, przez zdumione pospólstwo prowadzone ośmdziesięcioletnią babulkę, najmniej strwożoną okropnym końcem w płomieniach, białagłowę szacunkiem ludzkim otoczoną, matronę wielkiej powagi, starowinę, która może za rok, za dwa sama byłaby oczy na zawsze zamknęła.

Stanęła na stosie, objął ją żywy ogień — a imię jej i skon męczeński znajdują się zaledwie w niedużej notaty, u Łukasza Górnickiego, który przerażonym wzrokiem dwunastolatka na to jaskrawe widowisko patrzył".

Nie katolicyzm więc, nie Rzym ni jego słudzy Jezuici, ale właśnie ci wyklinani wówczas w całej Polsce przez katolickie duchowieństwo "heretycy", Arjanie pracowali nad poprawą obyczajów, nad oświatą ludu, usunięciem zła bezrządu w Polsce. Nikt zaś inny, lecz właśnie kler katolicki, właśnie papiestwo i Jezuici pomnażali jeszcze bezrząd, to zło, jakie już w samej podstawie państwowej budowy Polski tkwiło, szerzyli zabobon i podtrzymywali ciemnotę u mas, uprawiali fanatyzm religijny i nienawiść do różnowierców. Żydów i Protestantów. Oni też wpływem swym głęboko sięgającym sprawili, że najlepsi z synów Polski, Arjanie prześladowani szli na tułaczkę i poniewierkę, domy ich zostawały zburzone, tak samo, jak i ich świątynie, tak zwane „zbory", dobra przeważnie na rzecz kościoła konfiskowane, a wspaniałe ich dzieła, najcudniejsze pomniki mowy polskiej, we własnych ich tłoczniach odbijane, szły na stos! I dziś badacz polskiego języka i myśli polskiej z najświetniejszego jej okresu zmuszonym jest poszukiwać dzieł tych po obcych, cudzoziemskich bibljotekach, bo we własnych zniszczyła je gruntownie fanatyczna zaciekłość papieskiego posiepaka. Uszanowała je zaś dłoń Niemca lub Hollendra, uczciła ich piękno!...

ZAKOŃCZENIE.

Czy ta krwawa karta rządów kościoła rzymskiego w Europie ujmuje w czemkolwiek religji Chrystusowej? Czy jest nam w stanie zepsuć szlachetne piękno idei miłości bliźniego i przebaczenia wrogom, idei pokoju i światła? Nie! Potrafimy dziś przecie odrzucić z niej to, co jest na niej skazą, plamą przez ludzi jej narzuconą, potrafimy zdać sobie sprawę z tego i osądzić tych, którzy z tej idei uczynili sobie miecz krwawy i okrutny, którzy w imię tej idei mordowali, pozbawiali setki tysięcy ludzi życia, mienia i wolności osobistej, którzy w imię jej bez-

cześcili groby, pastwili się nad kobietami i dziećmi! Znamy ich, sprawców tych mordów i apostołów ciemności, szerzonej pod hasłem światła, prawdy i dobra!Znamy ich nie tylko z tych krwawych dziejów na kartach tych, dopiero co opowiedzianych, ale znamy ich i z bliska z dnia dzisiejszego. Wiemy do czego oni dążą, o czym oni śnią i marzą, o co oni w imię tego samego hasła, w imię którego wczoraj mordowali, i dziś walczą, choć robota ich dzisiejsza bezkrwawa i cicha, lecz tembardziej obłudna, bo krecia. I dziś im pachnie władza, i dziś im stosy pachna i ludzkie mienie! I dziś cuchnie im prawda i wiedza i światło.

Więc baczność! Broń zawsze miejmy w pogotowiu! Bo wróg ten sam dziś, co mordował kilka temu wieków i co wczoraj i choć osłabione, choć szponów pozbawiony, czychał na naszą słabość, na nasz sen! On zawsze gotowy, w solidarną zwarty falangę. Stójmyż i my taksamo przeciw niemu! A w Polsce silniejszy on jeszcze dziś, niż gdziekolwiek indziej!...

———o———

DAREMNE ŻALE

Daremne żale, — próżny trud,
Bezsilne złorzeczenia,
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia!
Świat wam nie odda, idąc wstecz,
Zniknionych mar szeregu
Nie zdoła ogień ani miecz
Powstrzymać myśli w biegu,
Trzeba z żywymi naprzód iść,
Po życie sięgać nowe,
A nie w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę,

Wy nie cofniecie życia fal,
Nic skargi nie pomogą,
Bezsilne gniewy, próżny żal,
Świat pójdzie swoją drogą!

Asnyk.

—o—

WOLNE CHWILE.

Wróciła ze szkoły. Miała lat 7. „Uśpij dziceko'' kazała jej matka. „Antoś może pójść się bawić!'' Braciszek poszedł bawić się, a ona kołysała najmlodsze dziecię.

To były jej wolne chwile...

Wróciła do domu. Miała lat dwanaście — mała roznosicielka gazet. W kuchni Antoś siedział przy matce. Antoś służył u piekarza i roznosił bułki. „Roznieś ty dziś chleb po naszej ulicy'' — rzekła do niej matka, „Antoś niech się nieco rozgrzeje''. Było to w zimie. Wzięła kosz i poszła znowu w mróz i zimno, aby Antoś mógł się ogrzać.

To były jej wolne chwile.

Wróciła z fabryki. Miała lat dziewiętnaście. Dwanaście godzin dziennie pracowala w fabryce. „Przyrządź nam wieczerzę, jesteśmy głodni'' — rzekł ojciec. „Jutro niedzielę, napraw mi moją bluzę codzienną''. „Sporządź i nasze odzienie'' dodali bracia. Następnego dnia ojciec i bracia pili w szynkowni, bo przecież trzeba koniecznie rozweselić się trochę. Ona siedzi w domu i łata im podarte bluzy.

To były jej wolne chwile.

Wróciła do domu. Byla zamężną i miala dwoje małych dzieci; kilkumiesięczne i dwuletnie. Mąż pracował w fabryce, ona miala przedpołudniem zajęcie jako posługaczka. Po południu doglądała dwoje swoich dzieci i troje małych sąsiadki, która prasowala bieliznę po domach. Uważała na dzieci i robiła pończochy na sprze-

daż. Nie wiedziała już, kiedy były jej wolne chwile — czy zrana, kiedy śpieszyła sprzątać z domu do domu, czy też po południu, kiedy siedziała w domu, robiła pończochy i nie mogła nawet dzieci swych wziąć na kolana, by nie stracić czasu, ani nawet tej dwuletniej słodkiej dzieweczki swojej, która już próbowała jej pomagać kołysać niemowlę....

Jej wolne, wolne chwile?!

Zofja Kweler.

NAŚLADOWANIE Z SHELEY'A.

Czyż wy bez chleba, czyż wy bez strzech,
Znaliście kiedy miłości śmiech?....
O mówcież, mówcie, za jakąż z cen,
Dajecie krew swą i pot swój ten?
Siejecie ziarno, by inny żył,
Szukacie innym złocistych brył,
Innym przędziecie kosztowny strój,
Innym dajecie swój własny znój!
Nie na to dziś wam zasiewać łan,
I zbierać złoto, by gnuśniał pan.
Sobie to, sobie, prząść, zbierać, siać,
I lepszą dla siebie dolę lać.
Wy spoczywacie wśród sklepów, jam,
Innym wspaniały budując chram!
Przecz wyrzucacie przekleństwa głaz?
Waszej pracy twór dziś godzi w was!
Kądzielą, rydlem i pługiem, och!
Grzebiecie sobie grobowy loch,
Przędziecie sobie śmiertelny błam,
Ta własna ziemia cmentarzem wam!